

Zdzisław Brodzki

**HITLEROWSKI OBÓZ KONCENTRACYJNY
FÜNFTEICHEN**

**Fragmenty niepublikowanych wspomnień
więźnia KL Gross-Rosen, nr 34889**

[...]

SELEKCJA WIĘŹNIÓW W GROSS-ROSEN DO TRANSPORTU NA ARBEITSKOMMANDO

Po przybyciu we wrześniu 1944 r. do Gross-Rosen, transportem z powstania warszawskiego, i otrzymaniu numerów obozowych, wszyscy więźniowie zostali zakwaterowani na blokach nr 9 i 10 przeznaczonych dla nowo przybyłych, tzw. cugangów¹, dla wyeliminowania zakaźnie chorych lub niezdolnych do pracy.

Przydzielony zostałem do bloku nr 10, którego blokowym był młody Austriak, wysoki, przystojny i energiczny mężczyzna. Lubił on twardą dyscyplinę i porządek, w tym utrzymanie ścisłej higieny osobistej. Za znalezienie choćby jednego insekta obiecywał dać nagrodę. Do pomocy posiadał sztubowych i szlafsalowych², z których jeden szczególnie był bardzo aktywnym i gorliwym w wykonywaniu poleceń swego szefa – blokowego. Głos miał ochrypły, lecz donośny, wszędzie było go pełno, a w szczególny sposób dawał się we znaki więźniom podczas lokowania ich do snu. W barakach przeznaczonych na kwarantannę nie było łóżek, toteż spanie odbywało się na niewielu siennikach rozkładanych na noc bezpośrednio na podłodze. Liczba więźniów była tak duża, że szlafsalowy używał bambusowego kija do ubijania spragnionych snu, czyniąc to w ten sposób, że układał więźniów w bocznej, leżącej pozycji, aby mogli znaleźć miejsce do spania.

Jednak w nocy atmosfera do snu była nie do zniesienia. Panujący zaduch z wydzielanego potu tak zmasowanych ciał ludzkich powodował mdłości. Ludzie cierpiący na choroby żołądka lub pęcherza zmuszeni byli opuszczać swoje legowiska i udać się do ubikacji, mieszczącej się w drugiej części bloku. Takie sytuacje powodowały powrót do miejsca, które z reguły było już zajęte, przez rozluźnienie pozostałych kolegów. Następowало deptanie w ciemnościach, powodowało to wzajemne kopanie się lub rzucanie wyzwiskami. Końcowy efekt był taki, że wychodzący zmuszeni byli czekać w przedsionku na ogłoszenie porannej pobudki. W ciągu dnia mieliśmy obowiązek stać przed blokiem w dwuszeregu lub na komendę na przemian siadać i wstawać. Tego rodzaju zajęcie nie należało do przyjemnych, uwzględniając istniejące warunki atmosferyczne na wierzchołku góry, na której zlokalizowany był obóz. Na przemian deszcz, słońce lub nękający wiatr. Ubranie nasze składało się w tym czasie ze spodni, bluzy, czapki i drewnianych butów (bez bielizny osobistej), nie mówiąc o skarpetkach itp.

¹ Z niemieckiego Zugang – w obozie w ten sposób określano nowe transporty i więźniów nimi przybyłych.

² Schlafsaaldienst – dyżurny w izbie sypialnej.

W międzyczasie byliśmy przeprowadzani na Appelplatz, na którym odbywała się musztra w języku niemieckim (bacność, spocznij, czapki zdjąć – włożyć, szyk marszowy, zwrot itp.). Wszelkie uchybienia, spóźnienia wykonywanych ruchów podczas musztry lub nieznamość swego numeru wywołanego w języku niemieckim powodowały indywidualne ćwiczenia karne, jak biegi wokół placu, żabki, czołganie się (lotnik) względnie otrzymywanie kopniaków, bicia dłonią po twarzy lub pejcem. Jeśli tych przekroczeń podczas musztry było więcej, przedłużano naukę, z jednoczesnymi zbiorczymi ćwiczeniami karnymi.

Chodzenie do innych bloków było zakazane. Do tego trzeba było mieć specjalne upoważnienie, z którego korzystała służba techniczno-konserwacyjna urządzeń elektrycznych, kanalizacyjnych itp. oraz inni funkcyjni więźniowie.

Posiłki dwa razy dziennie donoszone były przez specjalnie wyznaczonych więźniów w kotłach-termosach. Tylko chwilowa nieobecność blokowego mogła pozwolić na prowadzenie rozmów wśród kolegów na miejscu lub z sąsiednich bloków. Tu przy zgolonych głowach ze sztrajfami³ szerokości 6 cm trudno było nawet poznać najbliższych znajomych, których było wielu. Rozpoznałem wśród nich między innymi Mieczysława Jankowskiego z Warszawy, Romana Kucharczyka, Józefa Młynarczyka i wielu innych przybyłych transportem z powstania warszawskiego.

Wreszcie skończył się okres kwarantanny, obowiązującej musztry, robienia porządków w obozie, takich jak czyszczenie szutru, którym wysypywane były wszystkie ścieżki i drogi przy blokach, czyszczenie z resztek trawy zasieków z drutu kolczastego przy ogrodzeniu obozowym.

Doszła wreszcie do nas obiecująca wiadomość o możliwości kierowania cugangów do pracy na tzw. Arbeitskommandach. I rzeczywiście następnego dnia, po odczytaniu tej wiadomości, po śniadaniu zarządzono zbiórkę naszego transportu (ok. 600 osób), w grupach po sto osób, na placu apelowym. Ustawieni w szeregu, gotowi byliśmy na dalsze polecenia. W pewnej chwili przybyła komisja, składająca się z SS-manów z kierownictwa obozu, na czele której stał major Wehrmachtu.

Podano odpowiednie komendy: Achtung, Mützen ab! Przy tej paradzie nastąpiły indywidualne rozmowy i rejestracja numerów więźniów. Pytania stawiane przez komisję były następujące: wykształcenie, wykonywany zawód, lata praktyki, nazwa miejsca pracy, posiadane inne umiejętności zawodowe.

Moje odpowiedzi na pytania były tak sformułowane, abym mógł być zakwalifikowany na wyjazd na Arbeitskommando. Podałem, że jestem absolwentem średniej szkoły mechanicznej, obeznany z naprawą pojazdów samochodowych, że pracowałem w fabryce metalo-

³ Streifen – pas wygolonych włosów, aż do skóry, biegnący przez środek głowy, pozwalający podczas ucieczki łatwo zidentyfikować więźnia.

wej itp. Wszystko to było moim wymysłem, gdyż zdawałem sobie sprawę, że odrzucenie mnie z transportu grozi skierowaniem do pracy w miejscowych kamieniołomach – Steinbruchu, co równało się bliskiemu kresowi mego życia. Tu trzeba podkreślić, że moja sylwetka i stan zdrowia, mimo 23 lat, nie wskazywały na ciężką fizyczną, możliwą do przetrwania obozu. Wpływało to z warunków odżywiania podczas okupacji hitlerowskiej i bezpośrednio przeżytym powstaniem warszawskim, gdzie panował głód i brak podstawowych witamin niezbędnych dla organizmu. W takiej sytuacji była większość kolegów z ostatniego transportu. Rozumowanie moje znalazło potwierdzenie przy rozmowie oficera z następnym więźniem, który przedstawił się jako inżynier elektryk, posiadający studia na Politechnice Warszawskiej, odbyte praktyki zawodowe w Szwecji i Anglii oraz 40-letni staż pracy zawodowej. Zapytany o wiek – 65 lat – został dosłownie zakwalifikowany: nadaje się do krematorium.

TRANSPORT W NIEZNANE

Dalsze wydarzenia nastąpiły bardzo szybko. Następnego dnia o godz. 5 rano byliśmy wycytani według numerów na zbiórkę, zaopatrzeni w kromki chleba z plasterkiem margaryny oraz – co najważniejsze – w nowe pasiaki i nowe drewniane obuwie (bez płaszczy i bielizny osobistej). Tak wyekwipowani na drogę, pod silną eskortą SS-manów zostaliśmy przeprowadzeni ok. 2 km do stacyjki kolejowej Gross-Rosen, znanej nam już z przyjazdu na miejsce. Mijaliśmy uśpione jeszcze kamieniołomy, stojące wagoniki i lokomotywy parowe oraz dźwigi do przeładunku. Mijaliśmy to miejsce, aby do niego więcej nie wrócić, zapomnieć o tym co nas spotkało i co tu widzieliśmy i odczuliśmy na własnej skórze. Przed stacją spojrzeliśmy ostatni raz na zabudowę małej wioski niemieckiej Gross-Rosen, wyludnionej i uśpionej, spowitej siną mgłą jaka w tym dniu wystąpiła. Widoczne były również kontury miejscowego kościoła z wysoką wieżą, całego z czerwonej cegły. Tak pożegnaliśmy, w moim przypadku po raz ostatni, tereny obozowe i trasę wiodącą do stacji. Przypomniało mi się jeszcze, że przy przekraczaniu bramy obozowej, kiedy SS-mani wydali rozkaz zdjęcia nakryć głowy, zapytaliśmy dlaczego – wyjaśnili, że jest to święte miejsce i taki jest regulamin. Kto przechodzi przez tę bramę może wyjść na wolność tylko przez komin krematoryjny. Istotnie widok dużego komina fabrycznego nie był ciekawy. Z jego otworu buchały dzień i noc kłęby czarnego jak smoła dymu, a w jego górnej części wydobywały się języki ognia. Przerażający ten widok potęgował się jeszcze bardziej podczas panujących ciemności.

Transport kolejowy z Gross-Rosen odbywał się pod tym samym konwojem SS-manów i wyruszył w nieznanym nam kierunku. Dopiero po kilku godzinach, kiedy już rozwidniało się, przez okienka bydlęcych wagonów ujrzeliśmy miasto Wrocław.

Miasto noszące wówczas nazwę Breslau było już nam znane z transportu do Gross-Rosen. Liczne mosty, baseny wodne i nurt Odry, liczne fabryki i ruchliwe miasto – zrobiło na nas kojące wrażenie. W tym czasie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Wrocław po wyzwoleniu będzie naszym miastem.

Jazda pociągiem trwała nadal, z przerwami i postojami na bocznicach, do następnego dnia rano. Zatrzymani na małej nieznanej stacyjce, byliśmy prowadzeni pod wzmocnionym konwojem SS-manów wzdłuż bagnistej drogi polnej. Po półgodzinnym marszu ujrzelśmy we mgle bramę nowego obozu koncentracyjnego, te same druty pod wysokim napięciem na ogrodzeniu wysokiego parkanu. Te same drewniane strażnice, górujące na linii ogrodzenia z umieszczonymi w nich SS-manami wraz z ciężkimi karabinami maszynowymi, wymierzonymi w kierunku terenu obozu oraz duże jupitery migające w ciemnościach po całym terenie zamieszkanym przez więźniów. Wokół obozu, wzdłuż linii drutów, rozmieszczone były bunkry naziemne żelbetonowe dla postów z SS-mańskiej obsady kompanii wartowniczych. Na miejscu stwierdziliśmy, że jest to Arbeitskommando Fünfteichen.

ARBEITSKOMMANDO FÜNFTEICHEN

Obóz koncentracyjny Fünfteichen (Arbeitskommando), podległy Gross-Rosen, budowany był od 1943 roku, położony na wolnej przestrzeni podmokłych łąk, pół kilometra od wsi i stacji kolejowej Miłoszyce, w rozwidleniu torów kolejowych na trasie Opole – Wrocław, tuż na jego przedmieściach.

Powierzchnia obozu przekraczała tę w centrali podobozów w Gross-Rosen. Było to jedno z największych komand i mieściło się na terenie powiatu Oława, z osiągalnym stanem dziennym w latach 1944–1945 do 6000 więźniów. [...]

Fünfteichen, jak większość obozów koncentracyjnych, miał dostarczać tanią siłę roboczą, z którą się w ogóle nie liczone, dla firmy Krupp, Bertha-Werk Markstädt, zajmującej się produkcją zbrojeniową. Zakłady te oddalone były od obozu ok. 2 km (obecnie wytwórnia autobusów „Jelcz”).

BUDOWA ZAKŁADÓW

FRIEDRICH KRUPP BERTHA-WERK AG MARKSTÄDT

Sytuacja na froncie niemieckim wymagała szybkiej rozbudowy potencjału wojennego. Toteż koncerny zbrojeniowe Niemiec w ścisłym współdziałaniu z zaopatrzeniem armii, po-

stanowiły budować nowe obiekty przemysłowe na terenach mniej uprzemysłowionych i mniej narażonych na bombardowania.

Budowa fabryki odbywała się w morderczym tempie, rękami więźniów różnych narodowości miejscowego obozu koncentracyjnego, w tym w największej liczbie Polaków. Szybkość budowy, trwającej dzień i noc, poszczególnych hal fabrycznych i urządzeń towarzyszących była tak wielka, że nie czekano na kompleksowe oddawanie hal fabrycznych do eksploatacji, lecz przystępowano już do produkcji z chwilą ustawienia obrabiarek na betonowej płycie pod prowizorycznym dachem.

Komendantura SS-mańska obozu czyniła wszystko, aby zapewnić niezbędną liczbę więźniów do wykonywania zadań produkcyjnych i budowlanych. W miejsce skatowanych i wymordowanych więźniów kierowano nowe transporty z Gross-Rosen dla uzupełnienia stanu liczbowego fachowców.

W roku 1944 zostało wybudowanych 5 hal fabrycznych, a 6 i 7 hala były w dalszej budowie. W swoich planach Zakłady Kruppa miały być dalej rozbudowywane. Wynika to nawet z dotychczas zachowanych fragmentów fundamentów i konstrukcji nośnych żelbetonowych, jakie pozostały w tym miejscu po wyzwoleniu.

Do prac ziemnych i budowlanych w dużej mierze kierowano specjalne brygady więźniów narodowości żydowskiej z różnych krajów, którzy uprzednio byli w izolowanych obozach specjalnych na pobliskim terenie zatrudniani przy szyciu odzieży, w pralniach itp. dla potrzeb wojska niemieckiego.

ROZKŁAD DNIA PRACY WIĘŹNIÓW

Rozkład dnia pracy więźniów był następujący: pobudka – godz. 5 rano, mycie się w rynnowych umywalniach i śniadanie, składające się z $\frac{3}{4}$ litra wodnistej zupy tzw. melki, 25 dkg chleba, który właściwie trudno nazwać chlebem i 2 dkg margaryny. Dalej następowała zbiórka na apelowym placu – godz. 6.

W czasie pobytu w umywalniach (specjalny blok dla tych celów) można było dokonywać handlu wymiennego. Było to tzw. giełda, na której ukradkiem wymieniano za pajdkę chleba papierosy (otrzymywało się 3 do 4 skrętów tytoniu krupczatki). Za chleb i margarynę można było wymienić części odzieży lub innego pożywienia. Najwyższą siłę nabywczą posiadały papierosy, które regulowały wartości pozostałych artykułów i w zależności od ilości przynieszonego „towaru” cena była każdego dnia inna.

Zbiórka na Appelplatzu następowała według zamieszkiwania na blokach, potem następowało zdawanie raportów Rapportführerowi SS i Rapportführerowi komendantowi obozu,

o stanie liczebnym więźniów na blokach i na rewirze tzn. szpitalu obozowym. Następna zbiórka była niezwłocznie po gongu obozowym według przydziału pracy w halach fabrycznych. Wymarsz poszczególnych kolumn przez bramę następował przy akompaniamencie: links-um, links-um oraz komendzie Achtung! Tu esesmani jeszcze raz liczyli stan kolumn, po 100 osób każda.

Droga do fabryki wiodła początkowo przez przejścia torów kolejowych, następnie polem wśród siatki z drutu kolczastego 3-metrowej wysokości, aż do bram fabryki. Punktualnie o godzinie 7 odbywały się zbiórki w halach fabrycznych i dalsze liczenie stanu więźniów, później zbiórki w poszczególnych działach produkcyjnych tzw. schifach, a następnie wymarsz na stanowiska robocze, do konkretnej pracy. Dla bieżącego sprawdzania stanu liczebnego więźniów zarządzane były przez SS-manów zbiórki całej załogi co 2 godz. Zbiórki te następowały po podaniu sygnału przez syrenę fabryczną i nigdy nie trwały dłużej jak 5 minut. Wyjątek stanowiły braki liczebne.

Przerwa obiadowa w fabryce zaczynała się o godz. 13 i trwała do godz. 13.30. W tym czasie posiłki spożywali Niemcy oraz pracownicy innych narodowości, zatrudnieni na tzw. wolnej stopie. Posiłki te były przywożone z centralnej kuchni w kotłach-termosach i gorące spożywane. Jak zauważyłem odrębne zupy otrzymywali Niemcy, Włosi i pozostałe narodowości. Termosy były oznaczone odpowiednim kolorem farby na zewnątrz, co wskazywało dla kogo pożywienie jest przeznaczone.

Niestety, więźniowie na tego rodzaju uczty obiadowe mogli się tylko z daleka patrzeć, a w korzystnym przypadku, gdzieś w zakamarkach – wyczyścić z resztek zupy pusty zbiornik, ale to było przeznaczeniem szczęściarzy.

Większość więźniów, oszczędzając własne siły (bez obiadu), lokowała się gdzie się da w zakamarkach miejsc pracy, aby zasnąć na czas przerwy. Osobiście z najbliższymi kolegami lokowałem się pod nawiewnikami ogrzewczymi, kładąc się na betonie i z miejsca zasypialiśmy. Przy tym na zmianę czuwaliśmy, aby na sygnał syreny obudzić się w porę na zbiórkę, gdyż wiedzieliśmy czym grozi takie spóźnienie (publiczna chłosta).

Nie raz byłem świadkiem takiego katowania więźnia, np. za niedokładną produkcję, przekraczającą tolerancję obróbki metalu, montażu itp. oraz przy łamaniu dyscypliny pracy, niezdjęcie czapki przed przechodzącym SS-manem, niepodporządkowanie się poleceniom kapo, względnie doniesienia przez nadzór techniczny fabryki o złym wykonywaniu pracy.

Wymierzenie kary polegało na tym, że na ławkę układało więźnia dwóch funkcyjnych, następnie siadało mu na rękach, a pozostałych dwóch wymierzało pejcem 40 do 50 uderzeń w pośladki, a często po innych częściach ciała. Tego rodzaju kara powodowała u katowanego omdlenia. W tym przypadku polewano go zimną wodą i dalej stosowano bicie.

Obozowi funkcyjni, tj. kapo i inni, częściej wymierzali doraźne kary na miejscu we własnym zakresie. Nawet za minimalne przekroczenia, względnie nawet nieuwagę stosowano kary o różnym rozmiarze. Jako przykład tego niech posłuży fakt, jaki mnie spotkał na terenie fabryki. W roku 1945 zatrudniony byłem w hali nr 5 na tzw. montażu głównym. Podczas zbiórki porannej na swoim dziale kapo Niemiec zauważył, że stojąc w drugim szeregu na jego rozkaz Achtung (baczność) z opóźnieniem przybrałem postawę zasadniczą. To upoważniło go do wymierzenia mi poniżej żołądka silnego ciosu butem, po którym zemdlony osunąłem się na beton.

Koledzy przenieśli mnie w bezpieczne miejsce i z trudem, po zakończeniu pracy, odprowadzili pod ramiona do obozu. Skutki tego kopnięcia były okropne. Zsiniały okolice brzucha, pozostał silny ból, uniemożliwiający nawet chodzenie. W przyszłości musiałem się jeszcze bardziej wystrzegać, aby nie „podpaść” władzy obozowej. Trzeba ogólnie stwierdzić, że bicie więźniów nie było rzeczą przypadku. Utało się w obozie takie powiedzenie: „Jak będziesz bity w poniedziałek, to spotykać cię będzie to samo w każdy dzień całego tygodnia”. Bicie więźniów po twarzy lub szpicrutą przez funkcyjnych (kapo, blokowych) należało w zasadzie do codziennego porządku.

Powrót z fabryki do obozu odbywał się w takim samym układzie i dyscyplinie jak rano z obozu do fabryki. Następowало to o godz. 19 wieczorem. Czas pracy wynosił więc 12 godzin plus 2 godz. marszu, czyli razem 14 godzin.

PRZEMARSZ WIĘŹNIÓW Z OBOZU DO FABRYKI

Droga przez pole, jak już wcześniej wspomniałem, ogrodzona była z obu stron siatką z drutu kolczastego. W okresie słonecznych dni lata droga ta stanowiła jeden tuman kurzu, unoszącego się nad głowami maszerujących. Kolumny, liczące każda po 100 więźniów, maszerowały piątkami. Przy tym maszerujący mieli obowiązek trzymania się pod ramiona (w haken) dla udaremnienia ewentualnej ucieczki. Próba ucieczki powodowała rozstrzelanie całej pozostałej czwórki w rzędzie. Po stronie zewnętrznej drutów, co 10 kroków szli uzbrojeni w broń maszynową SS-mani, mając do pomocy tresowane psy. Od strony wewnętrznej drutów siedł kordon policjantów obozowych, rekrutujących się spośród więźniów niemieckich. Nosili oni na głowach nakrycia, przypominające czapki naszych kucharzy, koloru białego, a w rękę trzymali, gotowe do użycia, drewniane pałki na uchwycie skórzanym. Rola ich była wyraźna – pilnować porządku maszerujących kolumn, nawoływać krzykiem do równania szeregów, stosując najczęściej pałkę.

Wśród drugich szeregów drutów, z przeciwnej strony, szły kolumny więźniów powracających z fabryki do obozu. Kolumna więźniów na przestrzeni ok. 2 km była tak długa, że

jak czoło kolumny docierało już do hal fabrycznych, koniec maszerujących nie opuścił jeszcze obozu.

Po powrocie do obozu następowało znów liczenie powracających z fabryki, musztra, Mützen ab, Mützen auf, czołganie się w błotnistym żużlu na placu apelowym, „gimnastyka” itp.

ŻYCIE W OBOZIE

Po apelu wieczornym chorzy mogli uzyskać zezwolenie blokowego na pójście po poradę lekarską na rewir. Najczęściej byli to chorzy z wysoką gorączką z różnych przyczyn, ale o tym wspomnę w późniejszych relacjach.

Dalszym obowiązkiem była kąpiel. Wyglądała ona w ten sposób: przed barakiem, w którym znajdowały się natryski, bez względu na temperaturę dnia (zima-lato) trzeba było zdjąć odzież, ułożyć ją w kostkę i przejść do pomieszczenia łaźni w baraku, gdzie każdy otrzymał na rękę odrobinę sproszkowanego „mydła” koloru szarego piasku. Następnie, przechodząc pod prysznic polewany był silnym strumieniem wody na przemian gorącej i zimnej. Cała kąpiel trwała ok. 5 min. Po tym „umyciu się” przydzielony specjalny więzień funkcyjny wypędzał opieszających, przy gorliwej pomocy pałki gumowej lub drewnianej, aby zrobić miejsce dla następnych, czekających w kolejce. W tych warunkach, bez ręcznika, trzeba było się szybko ubrać i udać na blok.

ŻYCIE NA BLOKU

Blokowy – po sprawdzeniu czystości osobistej i odzieży, czytelności numerów więźnia na bluzie i spodniach – wydawał wtedy, przy pomocy sztubowego, miskę zupy (norma 1 litr). Praktycznie chochła zawsze miała prawo zakołysać się w ręku sztubowego i w tym przypadku otrzymywało się ok. $\frac{3}{4}$ litra zupy.

Na obiad ten (bo kolacji nigdy nie było) otrzymywaliśmy przeważnie brukwiankę (to najlepsza zupa) lub inną lurę. Był to podstawowy i ostatni posiłek każdego dnia.

Mieszkając na 9 bloku, którego blokowym był Karol Hołubiak z Warszawy, 19-letni chłopak z Grójeckiej, przebywający w więzieniach i obozach około 4 lat, miał praktykę w swojej nie lada poważnej funkcji wychowawczej. Nie znając go wcale, starałem się nie „podpaść”, co spowodowane mogło być przypadkowym przewinieniem, i nie zawrzeć w ten sposób bliższej znajomości z jego pięścią lub pałką.

Widząc, że życie obozowe nakazuje bardzo intensywnie myśleć, patrzeć i we właściwy sposób reagować na otaczające zjawiska, postanowiłem rezygnować z codziennej kąpieli po

pracy w łaźni i w zamian myć się w umywalniach waszraumu⁴. Byłem prawie pewny, że kilka takich natrysków to zapalenie płuc, a później koniec.

Czyniłem to więc w ten sposób, że myłem w zimnej wodzie głowę, szyję, uszy i jedną nogę, czyli to, co sprawdzał blokowy przy wydawaniu zupy. Jakie było moje zdziwienie, kiedy blokowy kazał mi obnażyć nogę nie tę, którą w tym celu umyłem, mimo że myłem nogi na przemian. Po prostu wpadłem. Otrzymałem kilka gum po plecach oraz polecenie dokładnego umycia się.

Wypełniając polecenie blokowego, otrzymałem w drodze wyjątku należną porcję zupy, tylko dlatego, że byłem Polakiem tak jak on. W innym przypadku musiałbym głodować do następnego dnia. Takie praktyki blokowego miały miejsce w odniesieniu do innych więźniów.

Po kilku miesiącach pobytu w obozach, więźniowie opadali całkowicie z sił. Brak paczek żywnościowych i listów, których już nie przysyłały rodziny, szczególnie po upadku powstania warszawskiego i wyzwoleniu terenów Polski na linii Narwi i Wisły. Nie nadchodziły one również i z pozostałych terenów już wyzwolonych. Ciężka ponad siły praca, głód, choroby powodowały często zgony.

Blok nr 9, jak i pozostałe bloki, był zbudowany z desek, ustawiony na betonowej podmurówce. Wnętrze bloku składało się z trzech różnych części: środkowa to tzw. jadalnia, wyposażona w stoły drewniane i stołki, a nadto na środku stał żelazny piec węglowy. Pomieszczenie to służyło jednocześnie za sypialnię dla blokowego. Nad łóżkiem był umieszczony dużych rozmiarów obraz olejny, przedstawiający akt kobiecy na łące.

Było to miejsce, do którego nie wolno było się zbliżać, ani przebywać tam. Jadalnia nigdy nie była używana. Do niej prowadziły z zewnątrz bloku 2 drzwi. Posiłki były wydawane właśnie w jadalni, lecz spożywane na stojąco w pozostałych dwóch częściach baraku. Brak „fasowanych” łyżek, zmuszał do wykonania ich we własnym zakresie na terenie fabryki. Wykonywało się tam igły, brzytwy, noże i inne przedmioty. Nitki do szycia wydostawało się z węży gumowych.

Po spożyciu wieczornego obiadu, do czasu ciszy nocnej, blokowy zarządzał różne uciążliwe prace: czyszczenie papierem szklanym, na wysoki połysk, blatów stołów, stołków i ich części drewnianych – mimo że nie były używane. Czyszczenie tym samym sposobem części drewnianych prycz, kojek, zamiatanie i mycie podłóg, klozetów, porządki wokół baraku oraz ostatnia funkcja, już nie zalecana, likwidowanie we własnej odzieży insektów, których nie brakowało u każdego kolegi. Prycze na bloku były drewniane, tzw. kojki, dwu- i trzy piętrowe. Kojki te posiadały papierowe sienniki, wypełnione zmieloną na popiół, przez zużycie, słomą. Ich grubość nie przekraczała razem z siennikiem 3 cm. Wszystko to bez pościeli,

⁴ Z niemieckiego Waschraum – umywalnia.

mając do przykrycia cienki i zużyty koc. Baraki nie były ogrzewane, mimo że ich budowniczości przewidzieli miejsce na wylot rury od pieca, który nam służył jako wentylator. Podczas zimy ściany od wewnątrz pokryte były grubą warstwą szronu, powstałego z naszych oddechów.

Z uwagi na dużą liczbę więźniów, na jednej койce spało po dwóch, a w wolny dzień od pracy, tj. w niedzielę przypadało po 5 kolegów na койkę. W tych warunkach można było się tam zmieścić tylko leżąc bokiem lub na przemian (nogi do głów).

Cisza nocna – gaszenie światel – następowała o godz. 22 i trwała do 5 rano. Nie był to spokojny sen. Dość często zarządzane były alarmy lotnicze (Fliegeralarm) próbne i prawdziwe. Podczas takiego alarmu wszyscy mieszkańcy bloku musieli w ciągu kilku minut opuścić blok i chować się w rowach przeciwlotniczych, umiejscowionych tuż przed barakiem. Był to wijący się rów, głęboki na pół metra. Przy alarmie nie było mowy o ubieraniu się. Każdy jak mógł łapał swoje rzeczy i biegiem udawał się do schronu. Na głowie można było umieszczać koce, które rzekomo miały zabezpieczyć nas przed odłamkami pocisków. Tego rodzaju przyjemności trwały nieraz ok. 2 godzin, kosztem snu i wypoczynku. Te same zarządzenia obowiązywały również w czasie snu we dnie, po pracy nocnej.

Nie były to wszystkie przyjemności. Blokowi zobowiązał nas do zgłaszania się ochotniczo do pełnienia wart nocnych (Fliegeralarm). Były to dyżury ze zmianą co dwie godziny. Nie czekając aż na mnie wskaże, zgłosiłem się na jedną z takich wart, abym miał ją z głowy. Otrzymałem dyżur między 2 i 4 nad ranem. Czynności moje polegały na tym, aby blokowi miał spokojny sen, w czasie którego podrzucało się brykiety węgla do pieca. Kilka razy pełniłem taki dyżur, po którym czasami przydzielał dodatkowo pół litra zbywającej zupy, a to coś znaczyło. Wielką frajdę miałem podczas jednego z tych dyżurów, kiedy koło łóżka blokowego znalazłem kanę po kawie zbożowej, a na jej dnie resztki fusów. Zdawało mi się, że jem kawior lub inną pikantną potrawę, która daje tyle przyjemności memu podniebieniu. Uważałem przy tym w napięciu, aby snu blokowego nie przerwać.

Głód sprawiał, że wszystko smakowało, co tylko dało się zjeść. Pospolite zupy obozowe ze „szpinaku”, w którym były pokrzywy lub dosłownie gotowana trawa, również nie były wykluczane z konsumpcji, mimo że pierwszy raz spożywane w Gross-Rosen nie przechodziły mi przez gardło. Znalezione resztki naci, obierek lub skorupki od jajek, odpowiednio posolone i zagotowane, też były przysmakami nie lada. Niestety, tych przysmaków było o wiele za mało, by pokryć zapotrzebowanie tysięcy amatorów. Po przyjeździe do obozu ze zdziwieniem patrzyłem na starszych stażem kolegów, którzy podczas czyszczenia miejsc przy ogrodzeniach obozu rwali trawę i spożywali ją. Bywali jednak szczęśliwcy, którzy czasami jedli czosnek lub cebulę, przyslaną w paczkach od rodzin lub przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Po dłuższym pobycie w obozie nie dziwiłem się niczemu, odwrotnie brałem wzór ze

starszych kolegów, ratując się przed głodem, który jest straszliwym wrogiem więźnia. Czosnek i cebula w obozie to lekarstwo i witaminy tak niezbędne dla normalnego funkcjonowania organizmu.

Na bloku znajdowali się między innymi następujący więźniowie: Tadeusz Foryś, inżynier Antoni Okniński, Roman Kucharczyk, dwaj moi bracia Anatoliusz Brodzki i Ryszard Janczewski (brat przyrodni), redaktor Michał Bonerko, Jan Rogoziński, Kazimierz Wielogrof – wszyscy z Warszawy, a nadto Stanisław Swoboda, Tadeusz Paderewski, Leon Dzubiński, Ziółko ze Śląska, Tadeusz Krawczyk.

W pomieszczeniach sypialnych bloku musiał panować idealny ład i porządek. Prycze wysłane kocem o idealnej płaszczyźnie. Trzy żarówki elektryczne dawały pod dachem baraku słabe oświetlenie. Właśnie pod tymi żarówkami, na 3 piętrze kojki, odbywało się na zmianę bicie insektów z bielizny osobistej, których miliony nękały wszystkich. W niedzielę wolną od pracy w fabryce, czynności te wykonywane były na wolnym powietrzu, z dala od tej części obozu, przy której w bliskości ok. 150 metrów przebiegała linia kolejowa Śląsk – Wrocław. Ta część siatki i rząd drutów zakryta była słomianymi matami na całej wysokości około 5 metrów, aby ustrzec od przykrego widoku życia obozowego pasażerów pociągów przejeżdżających na tej trasie.

Pewnym ciekawym zjawiskiem zainteresowałem się na moim bloku. Jedna z kоек parterowych w środkowym rzędzie była zasłaniana od czasu do czasu kocami, tworząc jakby parawan. Byłem pewny, że w tym łóżku wypoczywa zmęczony pracą kolega więzień. Jakie było moje zdziwienie, kiedy dowiedziałam się, że w tym miejscu spotykają się homoseksualiści, zapraszając do siebie tzw. pipli, małoletnich chłopców. Działo się to wszystko za wiedzą blokowego, który tego rodzaju sprawy tolerował. Robili to przeważnie wysokiej rangi funkcjonjści narodowości niemieckiej, których nazywano powszechnie prominentami.

Wśród grupy więźniów zamieszkujących 9 blok spotkałem wielu, z którymi prowadziłem rozmowy polityczne. Rozmowy te dotyczyły klęski Hitlera na froncie wschodnim i zachodnim. Ponieważ żadna prasa nie dochodziła do naszych rąk, pozostała nam wzajemna informacja. Najlepsze wiadomości z frontu i sytuacji w Niemczech otrzymywałem od niemieckich kolegów, którzy sporadycznie uzyskiwali aktualną prasę hitlerowską.

Na ten temat zawsze rozmawiałem ze starszym wiekiem Niemcem, antyfaszystą, przebywającym w więzieniach i obozach od 12 lat. Był on, w rozumieniu prawa III Rzeszy, niebezpiecznym dla społeczeństwa i dlatego otrzymał wyrok całkowitej izolacji do czasu zakończenia wojny. Nosił ze sobą dużej wielkości mapę, wyciętą z gazety, i rysował na niej czerwoną kredką linie frontu niemieckiego, według aktualnego stanu działań wojennych. Cieszył się z istniejącej sytuacji, podobnie jak my. Zawsze powtarzał, że kres panowania Hitlera jest

już bliski i dlatego możemy liczyć na szybkie wydostanie się na wolność. Wszystkie informacje przekazywał mi w pewnej dyskrekcji, aby inni Niemcy nie ujawnili tego przed SS-manami.

Oczywiście tego rodzaju pocieszające wiadomości przekazywałem z miejsca najbliższym kolegom na bloku i na terenie fabryki. Miało to ogromne znaczenie dla podtrzymania ducha i wiary w zwycięstwo, i przetrwania tej makabry. Ważne było to również jako przeciwdziałanie załamywaniu się w ostatnim czasie wielu więźniów. Załamanie psychiczne zawsze przyspieszało drogę do krematorium.

Wiadomości te były pożywką duchową dla człowieka, przypominały bowiem, że godzina wyzwolenia się zbliża. Wielokrotnie przeprowadzałem rozmowy z kolegami ze swego bloku, między innymi z Władysławem Forysiem i Stanisławem Swobodą. W rozmowach tych informowałem ich o działaniach wojennych, duchu walczących żołnierzy w Powstaniu Warszawskim i pomocy ludności oraz o skutkach zniszczeń stolicy. Koledzy, przebywający w obozie od dłuższego czasu, nie mieli pojęcia o sprawach, które im relacjonowałem. Informacje z pierwszej ręki, od tych, którzy przybyli pierwszymi transportami po powstaniu, były właściwą oceną sytuacji militarnej armii niemieckiej, która na wszystkich frontach ponosiła systematycznie klęski.

Zima w obozie dawała się jednak bardzo we znaki. Brak bielizny osobistej, skarpet, nie mówiąc o szalikach czy chusteczkach, powodował, że więźniowie mieli najróżniejsze pomysły uzupełnienia garderoby i zabezpieczenia się przed zimnem. Część więźniów wykonywała z worków papierowych po cemencie okrycie pod marynarki. Ja sam sporządziłem sobie z worka jutowego okrycie, wzmacniające górną część spodni. Była to skuteczna ochrona przed wiatrem i zimnem, zwłaszcza podczas wielogodzinnego wyczekiwania na placu apelowym. Wzajemne nacieranie pleców stojących na placu kolegów lub stawanie blisko siebie dla stworzenia większej ciepłoty – nie zabezpieczało przed mrozem. Na ubraniach i częściach twarzy powstawał biały szron.

Władze obozowe szybko zorientowały się, że więźniowie jakoś „utyli”. Zarządzili więc na placu apelowym zbiórkę i szperę na blokach. Przy tym wydano rozkaz zdjęcia odzieży. W taki sposób zostaliśmy pozbawieni naszych ocieplających uzupełnień odzieży. Powtórzenie się tego rodzaju wykroczenia zagrażało represjami karnymi.

Po spożyciu posiłków wieczornych, blokowy wymierzał kary porządkowe. Między innymi Ryszardowi Janczewskiemu i innym wymierzona została kara 10 uderzeń pejcem, tylko za to, że numer więźnia na bluzie nie był czytelny. Numery takie sporządzane były własnoręcznie przez więźnia podczas pracy w fabryce. Trzeba było od elektryków „zdobyć” kawałek żółtej izolacji, służącej do ochrony przewodów elektrycznych. Na niej właśnie wypisywało się czerwoną farbą acetonową właściwy numer oraz czerwony winkiel więźnia politycznego i literę „P”, informującą o przynależności narodowej. Wymierzona kara wyglądała

tak, że ukarany w obecności mieszkańców bloku musiał położyć się na stołkach i w tych okolicznościach przykładowo otrzymywał 10 uderzeń pejcem.

ROZBUDOWA OBOZU

Według planów Komendantury w Gross-Rosen, obóz Fünfteichen miał być poważnie rozbudowany i w najbliższej przyszłości miał osiągnąć stan około 12 000 więźniów.

W tym celu na początku 1944 r. rozpoczęła się budowa dużych, dwukondygnacyjnych, bloków z pustaków cementowych. Pod nadzorem cywilnej firmy niemieckiej zostali zatrudnieni więźniowie przy pracach ziemnych, instalacjach wodno-kanalizacyjnych oraz murarskich. Podczas tej pracy więźniowie byli nadzorowani przez posterunki SS-manów, ustawione w pobliżu, z gniazdami ciężkich karabinów maszynowych. Praca więźniów nadzorowana była również przez kapo ds. budowlanych. Przez cały dzień krzykiem i pejcem goniono więźniów do wydajnej pracy.

Będąc zatrudnionym na tym odcinku budowy, w pierwszym okresie pobytu w Fünfteichen zetknąłem się z następującym przypadkiem.

Podczas południowego liczenia więźniów brygady budowlanej nowego obozu, stwierdzono brak więźnia. Czynione poszukiwania w pierwszym okresie nie dawały rezultatu. Byliśmy pewni, że nastąpiła ucieczka. Aż wreszcie, po około 2 godzinach, sprowadzono go na plac apelowy. Był to chłopiec mający około 17 lat, narodowości niemieckiej. Następnie przemówił komendant obozu, wyższy oficer SS. Sens tego przemówienia był mniej więcej następujący: Więźniowie znajdują się pod szczególną opieką administracji więziarskiej, a w szczególności Komendy Obozu i dowództwa SS. Stworzone zostały im właściwe warunki do bytowania i zapewniono im pracę dla zwycięstwa Wielkiej Rzeszy. Łamanie regulaminu obozowego jest niedopuszczalne, a każde jego przekroczenie będzie przykładowo i surowo karane, aż do kary śmierci włącznie.

Wskazując na doprowadzonego więźnia komendant powiedział: Ten oto więzień próbował ucieczki i zgodnie z regulaminem powinien być rozstrzelany. Władza niemiecka jednak stosuje również środki wychowawcze i biorąc pod uwagę młody wiek więźnia i to, że przebywa on w obozie zaledwie od kilku dni – wydaje decyzję ukarania go chłostą 50 pejczy. Jego narodowość niemiecka, nie zwalnia go z przestrzegania regulaminu więźniów, lecz wręcz przeciwnie powinien świecić przykładem innym, a wymierzona kara bardziej surową. Jednocześnie przestrzegł wszystkich przed podobnymi wypadkami, gdyż nie będzie stosowana żadna taryfa ulgowa, żadne ułaskawienia, tylko kara śmierci. Więzień ponadto zostanie skierowany do pracy w karnej kompanii i oznaczony czerwonymi naszykami w postaci koła

na bluzie i plecach, oraz zgolona mu zostanie na głowie droga wzdłuż uszu, tworząc tzw. krzyż. To będzie widoczny znak, że podjął próbę ucieczki z obozu.

W takim trybie odbyła się rozprawa z uciekinierem. Dalszym etapem było wykonanie kary. Oprawcy przynieśli ławkę, specjalnie zbudowaną do tych celów. Dwóch funkcyjnych więźniów usiadło skazanemu na rękach, trzeci na szyi, pozostałych dwóch zdjęło marynarki, zawinęli rękawy koszul i przystąpili do swego dzieła.

Bicie po obnażonych plecach, biodrach i gdzie się dało, następowało tak, jak to kiedyś młócono cepami zboże. Tego rodzaju katowanie wprowadzało skazanego w stan omdlenia. Krzyk lub wycie skazanego upoważniało komendanta do podwyższenia liczby batów. Polewano więźnia wodą i tak dokończono swego nikczemnego dzieła na oczach wszystkich. Następnie, nieprzytomnego skazańca zaciągnięto do pobliskiego baraku, przeznaczonego dla więźniów karnej kompanii. Oto była „lekcja wychowawcza” i objaw sadyzmu naszych opiekunów spod znaku trupiej główki SS.

SZPITAL OBOZOWY tzw. REWIR

Szpital obozowy, tzw. rewir, w Fünfteichen położony był na terenie zasadniczego obozu, w wydzielonym miejscu, ogrodzony parkanem z drutu kolczastego. Na tym terenie były 4 baraki, przeznaczone dla chorych i dwa na pomieszczenia gospodarcze, jak kostnica, magazyn odzieży więziennej i umywalnie.

Rewir powierzchownie poznałem podczas doraźnych wizyt po godzinach pracy, kiedy więźniowie w uzasadnionych przypadkach mogli korzystać, w ograniczonym zakresie, z porad lekarskich. Sam odwiedziłem rewir kilkakrotnie, skarżąc się lekarzom na stan podgorączkowy, spowodowany przeziębieniem i wyczerpaniem organizmu. Przy tych wizytach otrzymałem jedną tabletkę bliżej nieznanego specyfiku i o nieznanej nazwie, i musiałem wynosić się na blok.

Przy innej okazji zgłosiłem się do dentysty, ponieważ krwawiły mi silnie dziąsła i wszystkie zęby poczęły się ruszać tak poważnie, że groziły wypadaniem. Przy tym czułem tak silny ból w jamie ustnej, że utrudnił jedzenie otrzymywanego kawałka chleba.

Porada moja u węgierskiego dentysty wyglądała mniej więcej w taki sposób:

Po zajęciu miejsca na stołku w rzekomym gabinecie lekarskim, lekarz spojrzał na jamę ustną i powiedział: „Co, ty bandyto, przyszedłeś, żebym cię wyleczył – to w warunkach obozowych nie jest możliwe. Twoja choroba to szkorbut. Awitaminoza zrujnuje ci cały organizm. Musisz jeść dużo cebuli lub czosnku, którego nie ma w obozie. Teraz zrobię to, co w warunkach obozowych jest możliwe”. W kącie na podłodze ujrzałem butelkę z ciemnym płynem oraz kubeł z kapustą. Czekam, co będzie dalej. Lekarz wyciągnął drut i owinał na

niego watę, maczając w płynie; jak się okazało w butelce była jodyna. Wypędzłował mi dziąsła i wszystkie krwawiące miejsca jamy ustnej. Dał mi na rękę garstkę kapusty i kazał mi się wynosić na blok, zapowiadając ponowną wizytę na dzień następny.

Po tym zabiegu (pędzlowaniu) łyzy były wyrazem bólu. Ale łagodniej mi się zrobiło po natychmiastowym spożyciu kapusty. Ponieważ bardzo mi smakowała, postanowiłem powtórzyć tę kurację jeszcze tego samego dnia. Stałem w kolejce do lekarza jako ostatni, oczekując na kapustę. Lekarz, zaglądając mi do ust, z miejsca rozpoznał mnie po śladach jodyny na ustach i kijem przepędził, grożąc, że na przyszłość zanotuje mój numer dla wymierzenia kary przez blokowego. I tak skończyła się moja kuracja, ponieważ następnego dnia lekarz już nie miał kapusty, tylko odbyło się pędzlowanie jodyną.

Dalszy mój kontakt z rewirem w późniejszym okresie był już bardziej konkretny. Dzięki niemu uratowany zostałem od niechybnej śmierci, ale o tym szczegółowiej zrelacjonuję w rozdziale przy wyzwoleniu Fünfteichen przez armię radziecką, co miało miejsce 23 stycznia 1945 roku.

Z przyjęciem na rewir zaczęły się poważne trudności. Zwiększająca się liczba chorych, ograniczona liczba miejsc na rewirze – chorzy byli odsyłani na blok bez jakiegokolwiek pomocy. W tym wszystkim jednak miałem trochę szczęścia, gdyż termometr wskazywał, że posiadam ponad 39 stopni temperatury. W tych warunkach była w zasadzie podstawa do przyjęcia na rewir. Dodatkowym argumentem przemawiającym za moim przyjęciem, było przypuszczenie lekarzy zachorowania na tyfus, przy którym trzeba było szybko izolować chorego od zdrowych więźniów.

Przyjęcie na rewir było bardzo uproszczone. Wystawiano kartę choroby i kartę ciepłoty, która przytwierdzana była przy kojkach. Kazano zdjąć odzież i iść do umywalni (Waschraum). Sanitariusz-kalifaktor nadzorował dokładność umycia się, zwracał uwagę na umycie głowy i całego ciała, co było wykonywane pod lodowatą wodą bez stosowania mydła i ręcznika. Tak jak stałem, położyłem się na parterowej wolnej койce w środkowej części baraku chorób wewnętrznych. Spanie w niczym nie odbiegało od spania na bloku. Spłaszczony na grubość palca siennik, jeden koc, bez bielizny osobistej i pościelowej, to było moim legowiskiem. Dwa razy dziennie (rano i wieczorem) sanitariusz zmoczoną w zimnej wodzie szmatą, przecierał klatkę piersiową wszystkich chorych i kopiaowym ołówkiem malował wielkie cyfry (numer więźnia, w moim przypadku 34889). Robione w ten sposób znakowanie miało uchronić administrację obozu przed zmianą numerów ludzi zmarłych na żyjących.

Wiązało się to z osobami posiadającymi wyroki śmierci sądów niemieckich lub Wydziałów Politycznych. Mimo to każdy więzień miał obowiązek noszenia na szyi tzw. tabliczki śmierci, wykonanej z blachy, na której wybity był numer ewidencyjny obozowy. W Gross-

Rosen nie stosowano tatuażu na ramieniu – jak to miało miejsce w innych obozach, np. Auschwitz.

Pierwsza noc przebyta na rewirze, tj. szpitalu, była dla każdego koszmarem. Mając wysoką gorączkę, pomyślałem sobie – teraz wreszcie naprawdę odpocznę i wyspię się. Ulokowany przez funkcyjnych na parterowej drewnianej койce, przed zmierzchem rozmawiałem z najbliższymi chorymi, których bliżej nie znałem. Jakie było moje zdziwienie, kiedy po zbudzeniu się następnego ranka ujrzałem wokół siebie nieboszczyków. Wszyscy moi sąsiedzi w ciągu nocy zmarli. Pomyślałem sobie – kiedy przyjdzie kolej na mnie, aby ujrzeć ten nieznaną „drugą świat”, bez męczarni i tortur, jakie każdy dzień przynosił więźniowi.

Po tych rozważaniach zasnąłem. Obudził mnie sztubowy, wręczając miskę wodnistej melki. To pozwoliło mi zebrać myśli. Po śniadaniu zapowiedziano inspekcję lekarzy SS. Przy wejściu naszych władców spod znaku trupiej główki na teren bloku, każdy chory miał obowiązek unieść się na komendę Achtung! do pozycji półleżącej. Oczywiście, martwi nie podnosili się, noszowi w tym wypadku mieli zatrudnienie wynosząc trupy do kostnicy. Przy takiej „inspekcji” sprawdzano przede wszystkim wysokość temperatury ciała chorych. Jeśli malała do 37° wydawano polecenia zwolnienia na blok do pracy. Tych przypadków było niewiele. Większość to ciężkie choroby obozowe, np. flegmona, biegunka, jaglica itp.

Przed pójściem na rewir wiedziałem, że mój brat Tadeusz już tam przebywa. Nie było mowy o jakimś odwiedzaniu chorych na rewirze. Zastanawiałem się jaką drogą dać znać memu bratu, że tam jestem.

Jakie było moje zdziwienie, kiedy w końcu sali w bloku, w którym przebywałem, ujrzałem brata. Był względnie wypoczęty, temperatura ciała spadła i według tego kwalifikował się do wypisania z tego miejsca „wypoczynku”. W tych warunkach, pod nieobecność funkcyjnych na sali, przyszedł do mnie na małą pogawędkę. Z rozmowy wynikało, że nawiązał on kontakt z kolegą z Krakowa, któremu blokowy z terenu obozu codziennie przemyca dodatkowe porcje zupy, chleba, margaryny itp. Odbywa się to drogą przez druty rewiru. Jak się potem przekonałem, nasz miły krakowianin zostawiał nam trochę tego nadprogramowego jedzenia, chwaląc się przy tym, że na rewir dostał się po znajomości, aby odpocząć i nabrać sił. W duchu zazdrościłem mu tej protekcji, korzystając jednocześnie z jego pomocy żywnościowej. Polubiłem tego chłopaka, był młody, może 16 lat, dobrze wygimnastykowany, często ćwiczył wspinając się na rękach i podciągając w górę swoje ciało na najwyższych kojках.

Środki lecznicze, jakie stosowali lekarze w odniesieniu do chorych więźniów były bardzo ograniczone, a można powiedzieć żadne. Osobiście byłem leczony w następujący sposób: Jako środek leczniczy otrzymywałem pastylkę nieznanego żółtego specyfiku, prawdopodobnie na spędzenie gorączki.

I tak płynęły dni i tygodnie. Brat mój po tygodniu został uznany za zdrowego (bez gorączki) i poszedł na blok do pracy. Po dwóch tygodniach poszedłem i ja w jego ślady, przeznaczony w ten sposób do normalnych zajęć życia obozowego.

Wyżywienie dla pracujących w fabryce było z dodatkiem dla pracujących tzw. *culagą*⁵, o którym wspomniałem uprzednio. Natomiast jedzenie szpitalne było okrojone o 1/3 porcji dla pracujących. Zupy były bardzo wodniste, podobne do mlecznych, ale tylko w kolorze i słodkie na sacharynie.

Po przyjeździe na blok, gospodarz mój blokowy Hołubiak zapytał: „No i co bandyto, już jesteś zdrow – to weź się do roboty”. Przydzielił mi wtedy lekką pracę – czyszczenie papierem szklistym stołów w jadalni.

Kontakty współwięźniów z innych bloków były bardzo utrudnione i ograniczone. Spotkania takie, zresztą nieliczne, odbywały się ukradkiem w umywalniach, latrynach w chwilach wolnych od zajęć na blokach.

Wymienię tu – dzięki pomocy kolegów – niektórych blokowych Polaków sprawujących swe funkcje w roku 1944 do stycznia 1945.

Blok Nr 1 – Tadeusz (brak nazwiska), Nr 2 – obywatel narodowości czeskiej, Nr 6 – Jan Nowakowski, Nr 9 – Karol Hołubiak, Nr 10 – Tadeusz Tański, Nr 24 – Czesław Dębski.

Z licznych więźniów politycznych Polaków, znajdujących się w Fünfteichen, pamiętam niektórych: inż. Stanisław Frankiewicz (blok Nr 10), Tadeusz Krawczyk z Warszawy, Zygmunt Świeca, Świeca (brat), Bogdan Tupikowski, Michał Augustyniak, Bogdan Worobiec, Tadeusz Łapiński z Łap, Feliks Kidawa z Krakowa, Jerzy Przybyłek z Koluszek, Edward Tkaczyk z Piaseczna, Jerzy Zdierzchowski, Piotr Długosz, inż. Antoni Zboiński, Marian Tymiński, Aleksander Beker z Warszawy (blok Nr 1), Jerzy Przybyłek (nr obozowy 36163) z Koluszek, Stefan Ryś z Otwocka, Zygmunt Oruń z Płochan.

[...]

Mimo że wspomniałem już o codziennej drodze do fabryki, że nie była ona łatwa do przebycia, wypada jednak jeszcze kilka słów tej sprawie poświęcić. Przejście do fabryki odbywało się w kolumnach marszowych, podczas którego kapo Hallen wzywał do głośnego zbiorowego śpiewu. Hallen kapo nr 5, niski wzrostem Niemiec o imieniu Helmut, lubił bardzo podczas marszu śpiew melodii marszowych, a z nich najbardziej melodię ze słowami: „Malarz malował dziewięć miesięcy, aż wymalował obraz dziecięcy” itd. Wtedy szedł obok nas dumny i uśmiechnięty. Mieszkał on na tym samym bloku, w którym zajmowałem койkę (tj. blok nr 9).

⁵ Z niemieckiego: *Zulaga* – dodatek do przysługującej porcji chleba.

Droga ta była trudna do przebycia szczególnie podczas częstych deszczów, a później śniegów, kiedy do drewnianych butów przylepiała się glina lub śnieg. Więźniowie przewracali się jeden na drugiego, padając w błotnistą ziemię, wykręcali sobie przy tym nogi. Najbardziej przykre wypadki zachodziły u ludzi chorych na biegunkę, tzw. durchfall. Idąc w marszu, pragnęli chwilę przystanąć dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Zatrzymanie się jednak więźnia w kolumnie groziło pobiciem przez funkcyjnych, a nawet śmiercią. W tych warunkach chory wypróżniał się idąc.

Zdarzały się podczas marszu przypadki prób ucieczki więźniów. Działo się to wtedy, gdy dzienna zmiana z fabryki, wracająca po godz. 19, szła do obozu w ciemnościach, kiedy droga wśród drutów nie była jeszcze dokładnie oświetlona. To sprzyjało uskoczeniu więźnia w bok drutów, w miejscach, przez które przebiegała polna droga dla cywilów. W konkretnym przypadku, który miał miejsce w grudniu 1944 r., uciekło dwóch więźniów. Z miejsca SS-mani podnieśli alarm, rozkazując całej kolumnie maszerujących więźniów paść twarzą w błotnisty śnieg. Nie wiedząc o co chodzi, więźniowie leżeli tak w zupełnej ciszy około 2 godzin, głodni, całkowicie przemoknięci. Dalej słychać było ryk syren obozowych. Zarządzono alarm wśród pozostałych kompanii wartowniczych SS. Wkrótce widać było wyjeżdżające z obozu patrole motocyklowe i samochodowe. Światła silnych reflektorów rozchodziły się po drogach w różnych kierunkach, szukając miejsc ukrycia się więźniów. Po długim okresie wyczekiwania padł rozkaz powstania z lodowatej ziemi i udania się do obozu. Druga grupa ruszyła w kierunku fabryki.

Po przyjeździe do obozu trzymano wszystkich więźniów na Appelplatzu. Jeszcze przez kilka godzin staliśmy na wolnym powietrzu przy wiejącym silnie wietrze, aż wreszcie pozwolono rozejść się na bloki. W tym dniu zupeł otrzymaliśmy zupełnie zimną, a blokowi przepowiadali, że uciekinierów spotka ciężka kara. Nasz blokowy był wściekły, wrzeszcząc przy lada okazji: „Macie szczęście, że to nie z naszego bloku uciekli, gdyby było inaczej, to ja już z wami bym zatańczył, wy bandyci, kanalie” (taki był właśnie język obozowy).

PRACA W FABRYCE KRUPP BERTHA-WERK

Praca w fabryce, jak już wspomniałem, odbywała się na dwie zmiany: zmiana dzienna od 7 do 19 i nocna od godz. 19 do 7 rano. Początek i zakończenie pracy następowało przy sygnale syreny fabrycznej i liczeniu więźniów przez SS-manów na głównej drodze komunikacyjnej wewnątrz hali fabrycznej. Hala posiadała wymiary około 400 x 250 m, w hali mieścił się mały skład pociągu towarowego z 10 wagonami i lokomotywą.

Warto wspomnieć, jak administracja fabryki przygotowywała więźniów do pracy w odpowiednich zawodach produkcyjnych. Po przybyciu do fabryki otrzymałem przydział,

jako nowicjusz (cugang), do pracy w hali nr 5, w której odbywał się montaż polowych armat. Grupa ta liczyła około 50 więźniów i została ulokowana w tzw. Umszulungu⁶, tj. szkole fabrycznej. Miejsce to było niewielkie, o wymiarach 30 x 10 m, i wydzielone w środku hali fabrycznej, ogrodzone wysoką kilkumetrową siatką drucianą. Stały tam, będące w ruchu: frezarki, tokarki, szlifierki, wiertarki oraz stoły kreślarskie wyposażone w imadła, pilniki itp. narzędzia pracy. Przez okres ponad tygodnia byliśmy tam pod stałą opieką kapo Umszulungu, który ustawiał nas w dwuszeregu, wydając co jakiś czas komendę: stać lub siedzieć na zimnym betonie. W warsztatach tych przy maszynach i obrabiarkach pracowali więźniowie, obrabiając części metalowe. Przypuszczam, że był to rodzaj długotrwałego szkolenia, gdyż kilku więźniów, przydzielonych do maszyny, dokonywało powtarzalnych operacji pod okiem fachowca też więźnia.

Początkowo sądziłem, że i nas przeszkolą, kiedy zostaną przeszkoleni nasi poprzednicy. W rzeczywistości stało się inaczej. Dwutygodniowy pobyt w tej drucianej klatce, przypominającej ogród zoologiczny, stania tam lub siedzenia w bezruchu przez 12 godzin, nie należał do najprzyjemniejszych. Opasły, młody, o czerwonej twarzy Niemiec kapo Umszulungu ze znużenia wyżywał się na nas. Usłyszawszy gdzieś za plecami rozmowę więźniów, szybko znajdował się przy nich i wymierzał razy po plecach, twarzy lub gdzie się dało swoją gumową pałką, której nie wypuszczał z ręki. Załatwianie potrzeb fizjologicznych mogło się odbywać pojedynczo, w odległym około 150 metrów pomieszczeniu, zlokalizowanym przy bocznej ścianie hali. W tym celu kapo, do opieki nad cugangiem udającym się do tego przybytku, przydzielał „starego” więźnia. Charakterystycznym przykładem sadyzmu kapo było przydzielanie temu samemu więźniowi czyszczenia codziennie tej samej tokarki, która stała bez ruchu. Trwało to przez całe 12 godzin, bez najmniejszej przerwy. Jeśli kapo zauważył, że czyszczący maszynę przerwał swoją pracę choć na chwilę lub rozmawiał z sąsiadem, natychmiast na jego głowę spadały razy, które wymierzał swoją nieodłączną gumą. Jakim celom służyła bezmyślna praca więźnia, który mechanicznie przecierał szmatą metalowe i świecące się części maszyny? Niewątpliwie była to wymyślna metoda niszczenia godności i energii ludzkiej, celowe utrzymywanie człowieka w ciągłym napięciu nerwów, pod groźbą śmierci.

Po okresie tzw. szkolenia zdecydowano wreszcie przydzielić szkolonych więźniów do właściwej pracy. Bez spodziewanego faktycznego szkolenia zawodowego, pewnego dnia ujrzelśmy przedstawicieli niemieckiego dozoru fabryki. Jak się okazało, byli to majstrowie poszczególnych działów produkcyjnych: spawalni, nitowni, tokarni, frezarek, narzędziowni i montażu głównego.

Rozpoczęły się wstępne rozmowy z przyszłymi pracownikami poszczególnych działów. W tej sytuacji zorientowałem się szybko o co chodzi. Trzeba było zrobić tak, aby trafić do

⁶ Z niemieckiego Umschulung – przekwalifikowanie.

działu produkcji, który moim zdaniem był najbardziej „odpowiedni”, czyli najmniej szkodliwy dla zdrowia i utraty sił.

Po wstępnych rozmowach z majstrami nastąpił egzamin praktyczny, który składał się z ręcznego piłowania części metalowych pilnikiem, odczytywania wymiarów na suwmiarce, dokonywanych na wyrobach fabrycznych. Ponieważ majstrowie już wcześniej wiedzieli, że jesteśmy „fachowcami” od metalu, zaczęli wybierać kandydatów do swoich działów. Wyglądało to jak kupno niewolników na targu.

W międzyczasie przeprowadziłem rozmowę z jednym z majstrów montażu głównego, który z miejsca zaakceptował moją kandydaturę do pracy. Następnie uzgodniłem z tym samym majstrem, żeby przyjął do pracy mojego brata Tolka. Drugi brat Ryszard mimo moich zabiegów nie mógł trafić do naszego działu, lecz trafił do brygady spawaczy elektrycznych.

W ten sposób rozdysponowano wszystkich więźniów, kierując się raczej oceną wizualną, a nie fachowością. Decydował w tym przypadku wiek i kondycja fizyczna, pozwalające na dłuższą eksploatację człowieka.

Następnego dnia otrzymałem swoje stanowisko pracy przy 10 już istniejących wcześniej. Praca moja polegała na szeregu czynności przy montażu zasadniczej części podwozia armaty. Praca ta wymagała obróbki części metalowych, szlifowania ich przy użyciu szlifierek i mesli pneumatycznych, a często użycia zwykłego 5-kilogramowego młota dla spasowania niektórych grubszych elementów. W wielu przypadkach niezbędne było korzystanie z pomocy spawarki elektrycznej dla nadlania stopu i szlifowania niektórych części.

Przy tej pracy nawiązałem kontakt z moimi kolegami na szyfie, byli tam Rosjanie, Francuzi, Polacy. Jednego z nich spytałem, gdzie nauczyli się tej roboty, którą wykonują bez większego wysiłku. Odpowiedź miałem niedwuznaczną – i ty się tego nauczysz bardzo szybko jak dojdiesz do wprawy. Dodał przy tym, że do 1939 r. był śpiewakiem Opery Warszawskiej, a teraz pod przymusem zdobywa dodatkowy zawód.

Praca nowych „fachowców” odbywała się pod okiem doświadczonych więźniów, wyznaczonych przez niemieckiego majstra. Wydajność naszej pracy była niewielka. „Starzy” fachowcy wykonywali montaż czterech jednostek, natomiast nowicjusze wykonywali niespełna dwie jednostki w ciągu 12 godzin pracy. Po czterech dniach takiej pracy (nauki) majster nakazał pracować samodzielnie. Praca ta szła nam bardzo opornie i niemrawo. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, dla kogo i dla jakich celów pracujemy pod przymusem. Stąd czyniliśmy wszystko, aby pracę opóźniać i jak się dało sabotować. Majster widząc naszą małą wydajność w pracy wezwał schif kapo, oświadczając przy tym, że nie wykonujemy przewidzianych norm dla więźniów i z tego powodu dalsze działy montażu nie mogą rytmicznie pracować, oczekując na montaż urządzeń sterujących mechanizmami pomiarowymi. Rozmowa kapo z nami była bardzo krótka. Zapowiedział, że przy powtórzeniu się takiego meldunku

majstra, spowoduje zawiadomienie o tym władze SS-mańskie, za co w konsekwencji ponieśliśmy właściwą karę, gdyż fabryka, w której pracujemy jest zakładem o produkcji wojennej. Po pierwsze, poważne ostrzeżenie pod naszym adresem przeraziło nas, gdyż wiedzieliśmy, co z nami w takich przypadkach mogą uczynić. Cała sprawa w tych warunkach nie wyglądała wesoło, zanotowano nasze numery obozowe i koniec dyskusji. W następnych dniach pracy staraliśmy się utrzymać pozory „dobrych” pracowników, wyrabiając normę minimum (2 sztuki), pomagając przy tym sobie wzajemnie.

W pracy tej zacząłem szukać sposobów i metod dla oszczędzania własnych sił, nie licząc się wcale z jakością wykonywanej pracy. Po prostu zacząłem stosować sabotaż. Śruby, które nie chciały się dokręcać ręcznie w metalu, dobijałem na siłę do oporu młotkiem. Części szlifowane i pasowane z dokładnością do 0,3 mm, sprawdzane przez niemiecką kontrolę techniczną, opukiwałem młotkiem dla wyeliminowania ewentualnych szczelin zewnętrznych, a ślady po uderzeniach młotka malowałem acetonową żółtą farbą, przyniesioną z malarni, mieszczącej się na tej samej hali. I tak udawało mi się przez pewien czas. Skutki mojej „usprawnionej” pracy długo nie dały na siebie czekać. Części, które montowałem powodowały krótką użyteczność wyrobów i rozpadanie się armat, i to właśnie był nasz cel, żeby w ten sposób szkodzić odwiecznemu wrogowi. Drugi przypadek przychwycenia mnie przez majstra na złej pracy i sabotażu skończył się dla mnie pobiciem przez kapo i ostrzeżeniem przed dalszymi konsekwencjami.

Na dalszym dziale montażu zatrudniony był Antoni Sobociński, z którym niejednokrotnie przeprowadzałem rozmowy na różne tematy, także o metodach stosowania sabotażu. Poinformował on mnie, że Niemcy nie prowadzą ścisłej ewidencji więźniów wykonujących pracę przy określonych elementach, stąd też po odbiorze pracy przez KT trudno jest ustalić, kto odpowiada za wypuszczane braki. Majstrowie natomiast rozliczali się z pracy więźniów ogólnie, rejestrując codziennie ich numery obozowe.

WYPOCZYNEK PODCZAS PRACY

Wypoczynku podczas pracy w zasadzie nie było. Ciągłe zbiórki na środku hali, sprawdzanie przez SS-manów stanu liczebnego więźniów – komenda sztytm pozwalała na rozejście się ze zbiórki do stanowisk pracy.

Pod koniec listopada i w późniejszym okresie 1944 r. następowały opóźnienia dostaw części do montażu głównego i innych działów. Fabryki niemieckie zlokalizowane na terenie Prus Wschodnich były w tym czasie objęte bombardowaniem przez armię radziecką. Z tych

przyczyn następowały częste przerwy produkcyjne w fabryce w Fünfteichen. W takich sytuacjach władze niemieckie przemieszczały więźniów do różnych działów, tam gdzie mogła odbywać się produkcja, np. w nitowni, przy gwintowaniu śrub, transporcie wewnętrznym itp.

Do miłych chwil tzw. wypoczynku można było zaliczyć przebywanie w WC. Czas przejścia do WC i z powrotem zaliczany był do wypoczynku, nie licząc zasadniczego pobytu w WC. Chodziło się do tego przybytku właśnie w tym celu. Potrzeby fizjologiczne w określonych warunkach nie były aż tak duże i częste, wypróżnianie jelit następowało według potrzeby raz na 5 lub 6 dni. Dlatego też WC stało się miejscem wypoczynku, trwającym w sprzyjających warunkach około 20 do 30 minut. Nie była to łatwa sprawa, aby do tego przybytku dostać się bez przeszkód. Przed wejściem do tego pomieszczenia stał funkcyjny, zaopatrzony w pejcz, z którego bardzo skwapliwie korzystał. Nazywano go żartobliwie szajs kapo, gdyż właściwie taką funkcję sprawował. Kontrolował on tzw. szajs marki, tj. okrągłe metalowe blaszki, na których uwidoczniony był numer hali fabrycznej, nazwa schifu (działu produkcyjnego i nr blaszki). Blaszki takie, będące jednocześnie przepustką do WC, znajdowały się pod ścisłą opieką i ewidencją szrajbera schifu. Były one w dwóch kolorach: zielonym – uprawniającym do wejścia do pisuaru i drugim czerwonym – uprawniającym do zajęcia sedesu. Takich kolorowych marek w naszym dziale na 50 więźniów wydawano 5 sztuk. Można było je otrzymać od szrajbera, który prowadził ścisłą ewidencję (nr więźnia, nr marki, godzina pobrania i godzina i minuta zwrotu). W ten sposób szajs kapo mógł odpowiednio regulować ruchem i nadzorować wyjścia do WC. Spotkanie więźnia z zieloną marką na sedesie upoważniało kapo do stosowania kar na miejscu (pejczem), co w zasadzie było na porządku dziennym.

Okoliczności sprawiły, że na moim dziale szrajberem był mój kolega z okresu okupacji, z którym pracowałem jako konduktor warszawskich tramwajów. Był nim Ryszard Zawadzki. Tego rodzaju znajomość pozwoliła mi na szukanie pomocy przy otrzymaniu szajs marki, która nie byłaby kontrolowana przez nikogo i z której będzie można korzystać w każdej chwili. I tak się stało, że kolega Zawadzki udostępnił mi taką markę (oczywiście czerwoną), z której korzystali w razie potrzeby tylko najbliżsi i wtajemniczeni. Z uprawnień tych korzystał także mój brat Tolek, mający stanowisko pracy obok mnie. Korzystając z tego przywileju mówił: „Te s-syny nie doczekają się wyników mojej pracy, wolę posiedzieć w WC”. Tego rodzaju częste postępowanie zauważył niemiecki majster, widząc zbyt długą nieobecność przy warsztacie mego brata i w dodatku dość liczną w ciągu dnia pracy. Zwrócił się do mnie i spytał, co się dzieje z moim bratem? Zawsze powtarzałem, że brat cierpi na rozstrój żołądka i musi często wychodzić na dłuższy czas. Przy następnej rozmowie majster zapowiedział, że w przypadku powtórzenia się takiego postępowania zmuszony będzie zameldować władzom SS-mańskim albo kapo. Ostrzeżenia majstra przekazane bratu nie dały jednak rezultatu. Pod-

czas nieobecności brata przy warsztacie, dla ratowania sytuacji wykonałem czynności na jego stanowisku, ale i to zauważył majster i kategorycznie się temu sprzeciwił. To musiało wpłynąć na zmianę stosunku Tolka i stosowania tylko przerw, które nie wpadały w oko majstrowi.

PREMIOWANIE WYNIKÓW PRACY WIĘŹNIÓW

Wśród załogi „starych” więźniów naszego działu, najbardziej wydajnie, jak mi się wydawało, pracowali, bez większego wysiłku, Rosjanie. Wydawało mi się również, że pracowali oni przed aresztowaniem w fabrykach i są zapoznani z warunkami pracy w fabryce. Tego rodzaju „wydajna” praca była raz w tygodniu nagradzana przez majstra w drodze przyznawania premieszajn⁷ o wartości jednej marki niemieckiej. Za „dobre” wyniki pracy można było otrzymać 2–3 marki tygodniowo. Oczywiście grupa „nowych pracowników” o premii nie mogła nawet marzyć, słyszeli tylko ciągłe uwagi i nagany za złą pracę oraz groźby konsekwencji. W tym momencie pomyślałem sobie, że nie doczekam się na taką premię nawet w późniejszym okresie. Postanowiłem więc podejść majstra od strony psychologicznej. Na kwadrans przed zakończeniem pracy, kropiąc wodą beton, zabrałem się do zamiatania całego działu. Ruszyło to sumienie starszego wiekiem majstra. Wyszedł on z oszklonej budki majsterskiej i poklepał mnie po ramieniu, mówiąc jednocześnie: „Das ist gut arbeiter”. Za to dostaniesz premieszajn, bo to jest higiena w fabryce. I w ten sposób w najbliższą sobotę otrzymałem pierwsze i ostatnie dwie marki premieszajn. A był to majątek nie lada. Kantyna obozowa za jedną markę wydawała 10 papierosów „Juno” i miskę zupy, względnie 10 dkg zepsutej pasty firmy „Maggi”. Papierosy można było wymienić na inne artykuły spożywcze: margarynę, chleb, a nawet na części garderoby. Zupę zjadało się natychmiast, a pasta służyła do smarowania chleba, zwiększając jeszcze bardziej apetyt na jedzenie. Była bardzo słona i niewiele można było jej zjeść, dlatego częstowano nią kolegów. Podczas pracy, na teren fabryki nie dostarczano więźniom żadnych napojów ani posiłków. Po spożyciu takiej pasty piliśmy ciepłą wodę techniczną, pobieraną ukradkiem z kranów na rurociągach biegnących przez tereny hal fabrycznych.

PLAN NIEDOSZŁEJ UCIECZKI Z OBOZU

Zła praca mego brata Tolka miała głębsze powody, o których nie miałem pojęcia. Na częste zapytania, co z nim się dzieje, nie dawał odpowiedzi. W jednej z rozmów nadmienił tylko, że jest planowana ucieczka kolegów, zaznaczając, że cała sprawa jest zupełną tajemnicą i nawet bratu nie może jej ujawnić. Zastrzegł jednocześnie, że jeżeli któregoś dnia nie bę-

⁷ Z niemieckiego Prämienscheine – papierowe bony pozwalające na zakup towarów w kantynie obozowej.

dzie obecny, to znaczy, że plan został zrealizowany. Tym sposobem albo odzyska wolność, albo zginie, gdyż dalszy pobyt w obozie równa się, nawet przy najkorzystniejszych warunkach, pewnej śmierci. Nie wiedziałem, że codziennie brat odkłada ze swoich kromek chleba oszczędności (racje) na drogę do wolności. Zapasy te trzyma w płóciennym woreczku ukrytym pod płaszczem.

Jako brat Tolka, starszy od niego o 2 lata, miałem na niego wpływ i tłumaczyłem, że ucieczka w tej chwili nie ma sensu, brak jest szans powodzenia, a był to początek stycznia 1945 r. Sytuacja na wszystkich frontach zmieniała się błyskawicznie. Armia radziecka wyzwalała ciągle nowe tereny spod okupacji hitlerowskiej. Najlepiej przygotowana ucieczka i jej realizacja była więc wyczynem bardzo ryzykownym, tym bardziej, że zgrupowanie wojsk niemieckich na tych terenach było bardzo duże, z uwagi na strefę bliskiego frontu. W tej sytuacji nie można było z siebie czynić bohatera. Wiadomości z frontu wschodniego wyraźnie wskazywały na ofensywę armii radzieckiej, a tym samym zbliżanie się końca wojny.

Mimo tych perswazji Tolek nie pozwolił sobie wytłumaczyć bezsensu ucieczki. Zapytałem więc wręcz, dlaczego nie włącza mnie do grupy uciekinierów? Odpowiedź otrzymałem stanowczą – jesteś już słaby fizycznie i psychicznie, nieprzygotowany do takiego przedsięwzięcia i dlatego po naradzie z kolegami postanowiliśmy wyruszyć w odpowiedniej chwili we trójkę. Dalsze moje rozmowy zmierzały nie do udziału w ucieczce, lecz do udoskonalenia samego planu przygotowań, wykorzystania mego życiowego doświadczenia itp. Brat, po mojej przysiędze zachowania tajemnicy, przekazał mi cały plan ucieczki.

Ucieczka miała nastąpić drogą przez świetliki dachu hali fabrycznej, a dalej zejście po drabinie pożarowej na zewnątrz hali i następnie przez ogrodzenie z siatki drucianej terenu fabrycznego. Wreszcie przez pola do lasu, oddalonego o kilka kilometrów. Wszystko to miało nastąpić w przerwie nocnej między godz. 1 a 1.30 lub w czasie alarmu lotniczego, przy wygaszonych światłach.

Według mojej oceny plan był bardzo ryzykowny, ale przy dużej dozie szczęścia mógł się udać. Zobowiązałem się udzielić bratu i jego grupie pomocy w znalezieniu korby, którą można byłoby otworzyć świetliki dachowe. Wykonałem z drutu specjalne haki w rodzaju strzemion, które posłużyć miały każdemu przy forsowaniu ogrodzenia fabrycznego. Haki te miały być zaczepiane za siatkę, można było wkładać w nie ręce i nogi wspinając się bez przeszkód. Na druty kolczaste miały być rzucone własne marynarki. Papierosy wymieniałem na chleb od któregoś z funkcyjnych na bloku.

W zasadzie wszystko było już przygotowane do ucieczki, łącznie z planem przejścia przez pobliskie lasy i dalszą drogą do kraju. Zapas żywności mógł zabezpieczyć uciekinierów na okres około 3 dni. Był to chleb i małe kostki margaryny.

W ostatniej jednak chwili zapowiedziałem Tolkowi, że jestem zdecydowany iść razem z całą grupą; nie otrzymałem jednak tego dnia żadnej odpowiedzi. Dopiero za kilka dni Tolek, po naradzie z kolegami, powiedział mi, że będę musiał przejść odpowiednią próbę, po której nastąpi decyzja, co ze mną będzie. Zastanawiałem się na czym polegać będzie moja próba i jakie w związku z tym otrzymam zadanie do wykonania. Tolek w drodze z fabryki do obozu opisał mi zadanie w sposób następujący: uciekający koledzy w grupie muszą przede wszystkim być w dobrej kondycji fizycznej, posiadać możliwość szybkiego przemieszczania się z miejsca na miejsce przy pościgu, a miejscami trzeba będzie biec. Będzie to szczególnie ważne przy oddalaniu się z fabryki do najbliższego lasu odległego o kilka kilometrów.

W końcu nadszedł dzień, w którym cała sprawa rozstrzygnęła się na terenie obozu. Po sprawdzeniu przez Rapportführerów stanu liczebnego więźniów na placu apelowym, Tolek ustawił mnie na drodze w kierunku do waszraumu. Przy tym zapowiedział mi, że teraz odbędzie się decydująca próba, polegająca na przebiegnięciu ok. 150 metrów. Jeżeli będę biegł 2 minuty równo z nim lub w niewielkiej tylko odległości – zostanę przyjęty do grupy uciekinierów. Niestety, decydujący egzamin wypadł dla mnie niekorzystnie. Już po 20 metrach biegu zatrzymałem się, nie znajdując dość oddechu, serce biło mi nazbyt mocno. Poczułem się strasznie załamany, jako człowiek bezwartościowy, niezdatny do najmniejszego wysiłku. Łzy potoczyły się po mojej twarzy, pomyślałem sobie – jestem już do niczego, jestem muzulmanem.

Z losem jednak musiałem się pogodzić, wiedząc, że dalszy mój pobyt w obozie powodować będzie niszczenie resztek sił, a w konsekwencji rysuje się wyraźna droga do pieca krematoryjnego. Czyżby więc tylko ta droga pozostała do wolności? W tym czasie podobne myśli nachodziły tysiące więźniów, których siły fizyczne i psychiczne były u kresu wytrzymałości. Dalszy pobyt w obozie powodował gwałtowny spadek wagi, niereagowanie na zjawiska, umysł przestawał sprawnie pracować, więźniom już było obojętne, co z nimi się dalej stanie.

Wielu, wielu kolegów z mego transportu już zmarło. Wspomnę tu tylko jednego warszawiaka, który jeszcze przed tygodniem chodził do waszraumu, aby swoją przydziałową pajdkę chleba wymienić na kilka skrętów tytoniu. Zapytany przeze mnie dlaczego skraca swoje życie, sam pchając się do komina, odpowiedział: dla mnie nie jest to ważne, czy będę jeszcze żył tydzień czy dwa, ale ważne jest to, że papieros pozwala mi zapomnieć o wszystkim, co dzieje się wokół mnie. Śmierć wyzwoliła go od cierpień, jakie wspólnie na co dzień musieliśmy przeżywać.

Przychodzące transporty z Gross-Rosen, a byli to więźniowie z Auschwitz, Majdanka i innych obozów, potwierdzały, że obóz nasz i tak już dość liczny, zwiększa jeszcze swój stan liczebny.

W PRZEDEDNIU EWAKUACJI WIĘŹNIÓW OBOZU FÜNFTEICHEN

Nieoficjalne wiadomości, jakie docierały i krążyły wśród więźniów, wskazywały w drugiej połowie stycznia 1945 r. na zbliżający się front atakującej armii radzieckiej i polskiej od wschodu i armii alianckich od zachodu. Potwierdzał to panujący chaos organizacyjny wśród zarządu i majstrów w fabryce. Dostawy części do montażu z innych terenów Niemiec następowały przy tym nierytmicznie. Powodowało to przerwy produkcyjne, przestoje maszyn i brak możliwości zatrudnienia więźniów i licznych zatrudnionych tam, z tzw. wolnej stopy, obcokrajowców (Polaków, Rosjan, Czechów, Francuzów, Włochów i innych).

Wcześniej jeszcze, bo na początku stycznia 1945 r., zapowiedziano bardzo ważne wystąpienie komendanta obozu do wszystkich więźniów i funkcyjnych. Przeżywaliśmy ten moment w dużym podnieceniu, nie wiedząc co nowego może nas spotkać. Aż wreszcie chwila ta nastąpiła. Po powrocie z fabryki, ustawieni na placu apelowym, oświetlonym tego wieczora wszystkimi reflektorami ze strażnic esesmańskich i na samym placu, po sprawdzeniu stanu więźniów przez Rapportführerów – oczekiwaliśmy na dalsze rozkazy. Byliśmy przekonani, że nastąpiła jakaś ucieczka, że uciekinierzy zostali schwytani i czekamy na publiczną egzekucję. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy Rapportführerzy i blokowi wrócili do swoich bloków i usłyszeliśmy w różnych językach tłumaczenie słów komendanta obozu. Słowa te wypowiedziane ustami naszego blokowego Hołubiaka zelektryzowały wszystkich słuchających. Słowa te brzmiały wyjątkowo w naszych uszach, a mianowicie:

„Więźniowie, jesteście pod dobrą opieką wojsk SS-mańskich i kierownictwa obozu. Macie zagwarantowane wszystko, co więźniom można stworzyć w warunkach wojny. Zbliża się koniec wojny, w której zwycięstwo należeć będzie do Hitlera i III Rzeszy. Koniec wojny to dla was koniec pobytu w obozie i powrót do domu, do waszych rodzin. Jednak władze obozowe przestrzegają, że teraz właśnie dyscyplina musi być przez więźniów szczególnie przestrzegana, a wszystkie polecenia władz obozowych i samorządu więźniarskiego całkowicie respektowane. Brak posłuszeństwa będzie surowo karany, aż do kary śmierci włącznie”.

Blokowy Hołubiak wyraźnie podniecony rolą tłumacza, chciał ze swej strony też coś wnieść, oświadczając uroczystym głosem: „Wy, bandyci, jak chcecie ujrzeć wolność, która już jest blisko, nie próbujcie ucieczek lub innych sztuczek, bo zginiemy wszyscy. Za takie próby będę sam wymierzał stosowne kary”.

Tym akcentem zakończyło się przemówienie komendanta obozu, po którym wszyscy udali się na bloki. Tego rodzaju niecodzienne wystąpienie z miejsca było wśród więźniów

i funkcyjnych odpowiednio komentowane, a jednocześnie stwarzało nadzieje przetrwania i podnosiło na duchu.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy działania wojenne i zbliżający się od wschodu front dał o sobie znać. Armia radziecka i przy jej boku walcząca armia polska wkraczały na tereny niemieckie. Ludność tych terenów wyraźnie była zaniepokojona sukcesami armii radzieckiej. Idąc do fabryki widzieliśmy, że ludność niemiecka wychodziła na okoliczne pola z łopatami, budując rowy strzeleckie i przeciwczołgowe dla swoich wojsk. Były to umocnienia na przedpolach Breslau. Jednak wiadomości, docierające do obozu, potwierdzały, że front niemiecki jest w ciągłym odwrocie, że armia radziecka zajmuje tereny Prus Wschodnich i że ofensywa przygniata i miażdży opór wroga na całej linii.

Zbliżał się czas upadku III Rzeszy, upadku „władców świata”.

Błyskawiczna ofensywa armii radzieckiej, rozpoczęta w dniu 12 stycznia 1945 r., na linii Wisły, Narwi i Prus Wschodnich spowodowała, że władze SS-mańskie zarządziły natychmiastową ewakuację obozu do centrali, tj. do Gross-Rosen.

[...] To o czym piszę nastąpiło 21 stycznia 1945 r., o godz. 12, w obozowym rewirze. Trafiłem tam tydzień wcześniej z placu apelowego jako szturbomba⁸ (zemdlony). Ewakuacja z rewiru była poprzedzona szeregiem po sobie następujących badań chorych, a raczej selekcją, początkowo przez lekarzy, a następnie przez samych SS-manów, którzy decydowali i kwalifikowali chorych do włączenia ich do kolumn ewakuacyjnych. Końcowa selekcja wyglądała w ten sposób, że każdy chory był dosłownie stawiany na nogi przy pomocy personelu rewiru, i gdy tylko utrzymywał się chwilę o własnych siłach (będąc niekiedy przytrzymywanym pod ramiona) kierowany do ewakuacji.

Wiadomo jest, co z tymi więźniami robiła eskorta podczas marszu do Gross-Rosen i w późniejszych etapach ewakuacji – mordowano ich, strzelając w tył głowy. Godzina wymarszu była ogłoszona biciem dzwonu i gongów obozowych, po czym nastąpiło wydawanie rozkazów SS-manów, kapo i blokowych, liczenie więźniów, bicie, popychanie. Słowem – jak co dzień, tylko w większym nasileniu.

W rewirze natomiast dokonano przegrupowania chorych, których pozostało przy życiu około 300, segregując ich i lokując według rodzajów chorób, jak: czerwonka, tyfus, flegmona i inne. Baraki rewiru, jak się później okazało, były wszystkie zaminowane, co groziło całkowitą zagładą pozostałych jeszcze przy życiu więźniów.

⁸ Z niemieckiego Sturzbombe – „bomba nurkowa”, ironiczna nazwa więźniów zmarłych, lub tych co stracili przytomność, i byli znoszeni do obozu przez współtowarzyszy głową w dół.

Mimo ewakuacji więźniów z zasadniczego obozu, byliśmy nadal strzeżeni przez SS-manów; dopiero 22 stycznia 1945 roku, po południu, pilnowanie obozu przekazano polowej żandarmerii i policji niemieckiej.

Wśród chorych słychać było nieznośne jęki konania. Oczekując z niepokojem dalszych wydarzeń prowadziłem rozmowy z kolegami, którzy leżeli na sąsiednich pryzkach. Jeden z nich, pochodzący z Bydgoszczy, nie wierzył, że doczeka wyzwolenia. Rozmowa ta potwierdzała, że ludzie są już u kresu sił. Bydgoszczanin mówił, że córka jego dwa tygodnie przed ewakuacją, po usilnych staraniach Landrata w Bydgoszczy, przybyła do komendanta obozu, aby odwiedzić ojca. SS-mani jednak nie zgodzili się na to, pozwalając jedynie doręczyć paczkę żywnościową, z której poczęstował mnie sucharem. Na wyrażoną wątpliwość mego współtowarzysza, czy przeżyjemy, czy ujrzymy jeszcze swoją rodzinę i czy przetrwamy krytyczny moment przejścia frontu – twierdziłem z całą stanowczością, że tak, że znajdziemy się w wolnej ojczyźnie, wyleczymy się z nabytych w obozie chorób. Rozmówca mój płakał jak dziecko, twierdząc, że to są jego ostatnie chwile i prosił o przekazanie rodzinie w Bydgoszczy słów pożegnania i wiadomości o jego ostatnich chwilach.

W tym czasie, nie otrzymując posiłków, rozpoczęliśmy gotowanie zup raz dziennie ze „zorganizowanych” resztek jedzenia i rozmaitego zielska (pokrzywy), byliśmy bowiem skazani przez hitlerowców na zniszczenie. W większości przypadków chorzy silnie gorączkowali i nie zdawali sobie nawet sprawy, co się wokół nich działo. Olbrzymia liczba zgonów każdego dnia, nigdy nie ogrzewane baraki, brak wody, światła, pożywienia powodował zupełne otępienie umysłowe, niereagowanie na otaczające zjawiska, słowem bezwład myśli i woli. Sytuacja taka była ciężarem nie do zniesienia. Silniejsi rozumieli, że są to godziny, zbliżające ich do niechybnej śmierci.

Niesłychanie wielka śmiertelność więźniów i leżące sterty ciał ludzkich przed barakami, zmusiły Niemców do zarządzenia zakopywania trupów obok obozu, nie dalej jak 150 metrów od głównej bramy, w kierunku wsi Miłoszyce, w małym liściastym lasku. Transport ciał odbywał się w ten sposób, że ok. 10 więźniów ciągnęło za nogę jednego nieboszczyka na miejsce, w którym miał być zakopany. Głęboki dół na grzebanie ciał ludzkich był już wcześniej wykopany, świadcząc o tym, że władze SS-mańskie zaplanowały likwidację wszystkich chorych i zatarcie śladów tej zbrodni. Wleczenie ciał ludzkich do wspólnego grobu pokazywało jaką siłą fizyczną dysponowali pozostali przy życiu więźniowie. Dalekie odgłosy artylerii, a wkrótce i karabinów maszynowych, zwiastowały zbliżający się front i wolność tym, którym starczy jeszcze sił na parę dni.

Atmosfera wśród więźniów stawała się niepokojąca. Napięcie wzrastało z godziny na godzinę. Wielu z nich wierzyło, że dożyje. Śmierć nieustannie kosiła towarzyszy niedoli z wzrastającą zachłannością. Szeptano, że zostaniemy wysadzeni w powietrze, względnie

obrzuceni granatami i spaleni dla zatarcia hitlerowskiego barbarzyństwa. Jednak bardziej wytrwali i zahartowani starali się podnieść pozostałych na duchu, wskazując na wyraźne zbliżanie się frontu i armii czerwonej, niosącej wyzwolenie.

Drugiego dnia takiego wyczekiwania w napięciu, policja niemiecka dokonała przeglądu baraków, zapowiadając jednocześnie i przestrzegając, że każde wychylenie głowy z baraku lub usiłowanie wyjścia grozi natychmiastowym zastrzeleniem. Mimo zamkniętych okiennic, co dzieje się przy barakach komendy obozu, opuszczonej przez SS-manów podczas ewakuacji zasadniczego obozu. Widzieliśmy, że warty są okresowo zmieniane, a straż obecnie sprawuje wojsko, ubrane w cywilne ubrania z karabinami na ramieniu. Po długim, jak całe wieki, dwudniowym wyczekiwaniu nadszedł wreszcie dla nas dzień wyzwolenia.

Pamiętnego dnia 23 stycznia 1945 roku o godzinie 11 rano, przy 18-stopniowym mrozie i śniegu, 12 zwiadowców konnych armii czerwonej, okrytych białymi pelerynami, przyniosło nam upragnione wyzwolenie. Oddział armii radzieckiej, przybywający do obozu, spotkała nieliczna grupa więźniów u bramy wjazdowej.

Trudno opisać to spotkanie. Radość i łzy więźniów łączyły się z niedowierzaniem, że można już swobodnie rozmawiać ze swoimi oswobodzicielami. Zapoznając się z warunkami życia więźniów, żołnierze radzieccy pytali, czy wśród nas znajdują się jeszcze oprawcy, którzy mordowali więźniów. Jak się okazało, było wśród nas jeszcze dwóch kapo obozowych, którzy korzystając z zamieszania podczas ewakuacji, ukryli się wśród chorych więźniów. Jednym z nich był kapo o przezwisku „Cygan”. Przeprowadzony krótki sąd wojenny na placu apelowym zawyrokował rozstrzelanie obu kapo. Jednocześnie oznajmiono nam, że chorymi zajmą się sanitariusze wojskowi, którzy przybędą w niedługim czasie. Dla tych zaś, którzy mogą wyjść o własnych siłach z obozu – droga na wschód jest już wolna. Ponieważ wszyscy chorzy na rewirze znajdowali się bez bielizny osobistej (zgodnie z obowiązującym regulaminem) leżąc na pryczach pod jednym kocem, zaszła więc konieczność wyszukania ubrań i bielizny dla tych, którzy mogli udać się na wschód, do swoich rodzin.

Kilku więźniów „zorganizowało” z pobliskiego domu kolejowego ubrania, ułatwiając w ten sposób niektórym kolegom wyjście z obozu, bezpośrednio po jego oswobodzeniu. Otrzymawszy ubranie znalazłem się i ja w pierwszej grupie opuszczającej obóz. Wśród więźniów w tej grupie, poza mną, byli: Stefan Ryś z Otwocka, Roman Kucharczyk z Warszawy i Tadeusz Łapiński z Łap i kilku z Żyrardowa.

Jak stwierdziliśmy, w magazynach SS-mańskich za drutami obozu znajdowały się liczne zapasy żywności, z których wzięliśmy jeden bochenek chleba i 4-kilogramową skrzynkę marmolady, lecz z tych prowiantów nie skorzystaliśmy. Okazało się bowiem już na pierw-

szym kilometrze naszego powolnego marszu, że zabrakło nam siły do niesienia żywności. Trzeba było pozostawić ją w najbliższym rowie koło szosy.

POWRÓT DO KRAJU

Po wyzwoleniu obozu, jeszcze tego samego dnia cała piątka kolegów była już gotowa do wymarszu w kierunku Warszawy. Chwila zastanowienia, nakreślony plan marszruty. Stojąc przed bramą wyjściową obozu jeszcze raz spojrzeliśmy na całe zabudowania. Ciche kominy kuchni, milczące baraki więźniów, pusty plac apelowy. Jakże to wszystko inaczej wyglądało jeszcze przed kilkoma dniami: komendy SS-manów i krzyki blokowych, wykonywane przez więźniów rozkazy – teraz grobowa, milcząca cisza terenu naszej zagłady. Słysząc było tylko powiew zimnego, wiązane go ze śniegiem wiatru.

Nie mogłem opanować ciekawości i zajrzałem do pomieszczeń baraków SS-mańskich. Wszędzie zastałem nieład, porozrzucane części umundurowania naszych „opiekunów”, pozostawione telefony polowe, a nawet resztki jedzenia na stołach, skrzynki z piwem i innymi wiktuałami. W takich warunkach pospiesznie opuszczali swoje legowisko nasi panowie życia i śmierci.

Dochodząc do pierwszej wsi (obecna nazwa Miłoszyce), oddalonej o pół kilometra od obozu, spotkaliśmy Polaków noszących literę „P”. Byli to robotnicy wywiezieni przymusowo na roboty do Niemiec. Jazgot karabinów maszynowych, huk dział i rozrywających się pocisków artyleryjskich, wyraźnie wskazywał na bezpośrednie sąsiedztwo frontu.

I rzeczywiście. Wkrótce byliśmy świadkami ostrzeliwania z niemieckiego pociągu pancernego pozycji radzieckiej i wsi, w której byliśmy. Nawoływania spotkanych Polaków, by chronić się przed nalotami i pociskami artylerii, nie znalazły z naszej strony aprobaty; postanowiliśmy iść naprzód, choć marsz był właściwie marszem ludzkich cieni – marszem „mużłmanów”.

Droga do kraju wiodła przez miasta: Namysłów, Kluczbork, Lubliniec i Częstochowę do wolnej stolicy, do umęczonej, drogiej każdemu Polakowi – Warszawy.

[...]

Ja byłem wolny – lecz obaj moi bracia, o których wspominałem, i wielu, wielu moich kolegów nie doczekało się tak upragnionej wolności. Wszyscy zginęli z rąk oprawców hitlerowskich, SS-manów podczas wielomiesięcznej tułaczki ewakuacyjnej po różnych obozach koncentracyjnych, rozsianych gęstą siecią na terenach III Rzeszy Niemieckiej. Ich wysiłki jednak i codzienne podnoszenie innych na duchu, nie poszły na marne i pozwoliły przetrwać tym, którym armia radziecka przyniosła wolność 23 stycznia 1945 r. i przywróciła im godność ludzką.

Kartoteki

więzniów ~~znalezionych~~ ~~znalezionych~~

postraszonych O.R.M.O.

w Gross-Rosen

w październiku 1944/6.

88 — 184

Pole

78 34889

Brodzki, Adislaw

10.9.20. Warschau

Adislaw Brodzki

Włocławek

Włocławek

1. 10